Gdybym twą miłość miał Ameryko!

Pochwała dla wyobraźni czerpiącej „z pnia lipy czarnoleskiej”



*

Teresa Tomsia *(Poznań)*

> Poeta powinien być psem
>
> który wkłada nos do śmietnika ulicznego
>
> wącha róże w cesarskim ogrodzie
>
> szczeka i wyje do księżyca
>
> nawet jeśli ten nie zwraca
>
> na niego uwagi
>
> (Adam Lizakowski *„Poeta„*).

*

*

Adam Lizakowski pisze o codzienności emigranta w tomiku *Gdybym twą miłość miał Ameryko!* (Literary Waves Publishing, red. Anna Maria Mickiewicz, Londyn 2022) jako krytyczny obserwator rzeczywistości, a jednocześnie uczestnik każdej godziny przetrwania na obczyźnie. Jego spojrzenie jest krytyczne, ukazuje brzydotę i paradoksy losu emigrantów, ale też jest pełne współodczuwania dla ludzkich wyborów, słabości,

utraconych nadziei:

> Panie spójrz
>
> czy widzisz upadłych aniołów
>
> idą owinięci w brudne koce
>
> stoją w kolejce/ za łykiem gorącej kawy
>
> kęsem chleba.

Na okładce tomiku widnieje cytat z listu Czesława Miłosza do poety: „jednak opłaca się pisać prawdę, czy też starać się pisać prawdę, i to właśnie Pan robi, wbrew przyjętym opiniom, że *poezja* to co innego niż pisanie prawdy".

Ponad trzydzieści lat poeta żył i działał twórczo w USA, a po powrocie w 2016 roku zamieszkał w Świdnicy, od dekady jego wiersze i wspomnienia pojawiają się też na polskim rynku czytelniczym (*Dziennik pieszycki*, 2016, *Jak zdobyto Dziki Zachód*, 2017). Urodził się w Wigilię w Dzierżoniowie w 1956 roku. Mieszkał w Pieszycach i pracował w Zakładowym Domu Kultury „Prządka" na stanowisku instruktora teatralnego. W grudniu 1981 roku, gdy w Polsce komuniści wprowadzili stan

wojenny, przebywał w Austrii, gdzie otrzymał azyl polityczny w marcu 1982 roku, a w czerwcu zdecydował się na emigrację do USA. Losy emigrantów to jeden z głównych wątków jego twórczości. Tłumaczył poezję Boba Dylana, Williamsa Carlosa Williamsa, Louise Glück, Carla Sandburga, Allena Ginsberga, Walta Whitmana. Był redaktorem naczelnym miesięcznika „Razem" wydawanego w San Francisco oraz wydawcą kwartalnika „Dwa Końce Języka" w Chicago, korespondował z pisarzami na emigracji: Czesławem Miłoszem, Jerzym Giedroyciem, Adamem Zagajewskim, Maciejem Niemcem. Przez wiele lat publikował w paryskiej „Kulturze" i nowojorskim „Przeglądzie Polskim", ukazywał realia emigracyjnej egzystencji krytycznie, nie ukrywając własnych i cudzych słabości, motywów postępowania, negatywnych postaw, skomplikowania losów:

> Gdybym twą miłość miał Ameryko,
>
> ptaku złotopióry, codziennie o wschodzie
>
> słońca śpiewałbym pieśń ludzi żyjących,
>
> gdybym twe serce czuł gorące,
>
> gdyby twa miłość była mą inspiracją

śpiewałbym tobie i o tobie, Ameryko,

wysoko, wysoko pod sam czubek Sears Tower

byłbym twoją miłością i pachniał dolarem,

przemierzał twe kaniony ulic,

prerie bogatych przedmieść,

wołałbym jesteś jedyna, jak jedno jest życie,

jak jedno stworzenie świata,

jedna Jerozolima, jeden Bóg, jedna Wisła,

gdybym twą miłość miał Ameryko,

gdyby twej miłości najmniejszy blask

na me serce padł, rozgrzał je,

gdybym chociaż raz jeden, jedyny raz

znalazł twe piórko, Ameryko, ptaku złotopióry

> (…)
>
> język mój byłby nie mieczem ani piórem,
>
> ale grubym pniem lipy czarnoleskiej,
>
> gdybym twą miłość miał Ameryko!!!

Adam Lizakowski w wielu wierszach zwraca uwagę czytelnika na problem przemijania w poczuciu bezsensu i na to, jak ważne jest w życiu człowieka odczuwanie czasu oraz świadomość, czemu i komu służy swoim życiem. Autor pyta, jak wielką cenę płacić trzeba za materialny status emigranta, za niespełnienia, niepokoje o przyszłość. Czasem liryczne zamyślenia dają ukojenie, tak jak w *Chicagowskiej kołysance* z 1998 roku, gdy beznadziejną egzystencję – choć na chwilę tylko – przesłania piękno otaczającego świata:



Wody jeziora Michigan kołysankę nucą,

ćwicząc glos na brzegu z kamieniami w ustach

z takim triumfem w głosie,

jakby nikt inny śpiewać nie umiał.

(...)

Noc przechadza się ulicą Fullerton

jak czarna dama we włosy wpięła księżyc złoty

> kolia diamentów gwiazdami błyszczy,
>
> biedak co liczył swe zyski nad biedą westchnął
>
> bądź przeklęta godzino
>
> w której otrzymałem paszport.

Poeta pochyla się nad losem emigrantów, którzy swoim trudem co dnia tworzą dobro Ameryki i przyczyniają się do mitu o spełnionym „amerykańskim śnie”. Oddając im głos, przywraca godność zapomnianym imionom, aby wszyscy spotkani na tej drodze życia mogli wypowiedzieć ukrywane żale i oczekiwania. Pojedynczy los to twarda rzeczywistość, praca od świtu do nocy, męka, niepewność jutra i ciągła walka o przetrwanie. Każdy człowiek, niezależnie od tego, czy przybył tam lata temu, czy wczoraj, pragnie odnowić życie, uciec przed prześladowaniem lub sobą samym, to wędrowiec, który ciągle jest w ruchu, w pragnieniu przemiany.

Niekiedy poeta pozwala sobie na osobiste refleksje, ale nostalgia mocno boli, chwyta za gardło, dlatego w tym zbiorze o „miłości Ameryki” niewiele znajdziemy liryków, więcej jest tu opisów miasta i życia sąsiadów, podobnie żyjących jak on emigrantów. Nostalgiczne wersy są przejmujące, a temat powrotu do ojczyzny

rzucony mimowolnie, żeby nie mógł przylgnąć na dłużej, bowiem nostalgia niszczy i zniewala, osłabia siły niezbędne do przetrwania (*Jesienny poranek w Chicago*):

> W nocy padał deszcz
>
> był porywisty wiatr
>
> „psa byś nie wygnał w taką pogodę”. […]
>
> Do tylnej szyby mojego samochodu
>
> przykleiło się kilka liści
>
> roześmianych złotem i purpurą.
>
> Nie mam odwagi zapytać
>
> „a dokąd to się wybieracie?”

Lizakowski dyskretnie przywołuje w wierszach polskie przysłowia, powiedzonka, określenia możliwe do metaforycznego odczytania w kontekście rodzimych klimatów (liście połyskujące „złotem i purpurą” odsyłają nas w domyśle do „złotej polskiej jesieni”). Bohater jego wierszy wie, że musi „grać kogoś, co

wszystko rozumie”, przetrwał przecież tyle lat, wchodząc pomału w obcą sobie kulturę, aż nauczył się głębiej rozpoznawać siebie, swoje potrzeby i nadzieje, realnie patrzeć na propozycje i możliwości, wiedzieć, na ile go stać. Nie chce być „grzeczny i uprzejmy” fałszywie (jak ojciec inżyniera, którego syn sprowadził do Ameryki – byłego sekretarza partii w powiatowym mieście – dawniej butny i groźny, dziś aż za bardzo uniżony). Poeta podaje różne przykłady zachowania, rozumiejąc ludzkie wybory, a przede wszystkim przedstawia swoje wartości, jakimi się kieruje:

> Moje wiersze to wspaniałe skrzydła
>
> Na których latam ponad miejscami
>
> O których nie mógłbym nawet pomarzyć.
>
> (…)
>
> Moje wiersze są jak moje koszule i krawaty
>
> Barwne i strojne w zależności od okazji
>
> Są garniturami i kapeluszami rejestru bólu i radości
>
> Z nimi czuję się wygodnie gdy piszę o porach roku

> W nich w kilku słowach oddaję sens
>
> Swojego życia, one rozpisane na głosy śpiewają
>
> (Adam Lizakowski *„Moje wiersze„*).

Wiersze Adama Lizakowskiego są pochwałą dla wyobraźni czerpiącej z „grubego pnia lipy czarnoleskiej”, wyobraźni, która w najtrudniejszym nawet czasie staje się dla człowieka podporą i ocaleniem.

Recenzja ukazała się w „Recogito”, Paryż, jesień 2022 r.

*

Teresa Tomsia – poetka, eseistka, autorka prozy dokumentalizowanej i szkiców literackich *Niedosyt poznawania* (2018). Publikuje na łamach „Toposu”, „Twórczości”, „Frazy” (cykl: *W pamięci, w odbiciu*). Ostatnio ukazał się wybór jej wierszy *W cieniu przelotnego trwania* (WBPiCAK, 2021) i tomik *Liryki przedostatnie* (Flos Carmeli 2022). Mieszka w Poznaniu.

*

Zobacz też:

Adam Lizakowski – sześć wierszy o Chicago

Ameryka w oczach i pamiętnikach wybitnych Polaków w XVIII, XIX i XX w. Część 1.

Ameryka w oczach i pamiętnikach wybitnych Polaków w XVIII, XIX i XX w. Część 2.

Listopad świąteczny

i waleczny



Fot. pixabay

Włodzimierz Wójcik *(Sosnowiec)*

Jedno z ludowych przysłów polskich głosi: „W listopadzie liście opadają, a ludzie znicze na grobach stawiają”. Właśnie. Liście opadają. Przypominają mi się ostatnie słowa Staszka Grochowiaka, powtórzone mi przez Jego Małżonkę w dziesiątą rocznicę zgonu poety. Były to słowa: „Wkrótce odejdę gdzieś w dalekie strony…”, potem znów: „…jak liść wiatrem zmieciony”. W

tę właśnie dziesiątą rocznicę zorganizowaliśmy w jego rodzinnym mieście, Lesznie Wielkopolskim konferencje naukową, a wieczorem z udziałem mamy poety mieliśmy rodzaj stypy. Można ten niezwykły wieczór nazwać pogłosem Mickiewiczowych „dziadów”, z tradycyjnymi „wypominkami”, wspomnieniami, zamyśleniami, zapalaniem świeczek czy lampek. To mi zostało w pamięci, bo wiązało się ze szczególnym nastrojem, jaki przeżywałem każdego roku w rodzinnym domu w Święto Zmarłych i w Dzień Zaduszny. Od lat młodzieńczych natomiast owe nastroje listopadowego czasu były wzbogacane Wyspiańskim, który akcje swojego arcydzieła lokował w jesiennych Łazienkach Królewskich.

W dramacie Wyspiańskiego „Noc listopadowa” sprawą naczelną staje się myśl o sposobach dochodzenia do niepodległej Polski. Klęska zrywu powstańczego 1830 roku nie oznacza usunięcia Ojczyzny z mapy Europy na stałe, bo – takie padają słowa – „umierać musi, co ma żyć”. To mitologiczna Kora wypowiada do swej matki Demeter wieszcze słowa, że w miejsce opadłych brązowych listopadowych liści zjawią się nowe, zielone:

> Gdy więzy śmierci skruszę
>
> i zieleń pędów nowych rzucę

> na niwy, łęgi na zagony –
>
> o matko, Bogów godna praca! –
>
> Sposobić każ lemiesze, brony…

„Noc listopadowa” była ważnym utworem w naszej narodowej skarbnicy słowa artystycznego. Wielekroć do niego nawiązywano. Dość przypomnieć Ernesta Brylla „Rzecz listopadową” (1968).



Wojciech Kossak, Noc Listopadowa, fot. wikimedia commons

Wieszczenia Kory spełniły się. Oto po wielomiesięcznym internowaniu w niemieckiej twierdzy w Magdeburgu 10 listopada 1918 roku pojawia się w Warszawie legendarny już

człowiek, Komendant Józef Piłsudski, by w dniu następnym przejąć z rąk Rady Regencyjnej władzę i zostać Tymczasowym Naczelnikiem Państwa Polskiego. Parę dni później już jako Naczelnik Państwa wysyła szyfrówkę do państw świata ogłaszając uroczyście restytucję Niepodległej Rzeczypospolitej. Radość z odzyskania niepodległości manifestowali polscy poeci nazywający się później skamandrytami. 29 listopada 1918 roku założyli klub literacki „Pod Picadorem". Odchodzili od problematyki martyrologicznej, głosząc radość idącą z „wiosny i wina" – jak to ujmował w poetyckim słowie Kazimierz Wierzyński. Aż dziwne, że ludzie typu Lechonia, Tuwima, Słonimskiego w chłodnym zazwyczaj listopadzie myśleli o wiośnie. Ludzie z rzeczywistości rustykalnej żyli na ziemi i liczyli się z przysłowiami, które albo radowały, albo groziły:

„Grzmot listopada dużo zboża zapowiada"; „W listopadzie goło w sadzie"; „W listopadzie wielka lichota, zalewa po drogach błota"; „Po Wszystkich Świętych słota, przez cały miesiąc błota"; „Po Wszystkich Świętych, gdy się deszcz rozpada, może słota dotrzymać aż do końca listopada"; „W listopadzie kobieciny przędą swe kądziele, a co święto, co niedzielę, brzęczy gdzieś wesele"; „Gdy w listopadzie liść na szczytach drzew trzyma, to w maju na nowe liście spadnie jeszcze zima"; „W listopadzie jak na autostradzie"; „Jadwiga bez deszczu i chmury, listopad zimny i ponury"; „Jak listopad ciepły, marzec mrozem przewlekły"; „Gdy listopad mroźny, to lipiec nie groźny"; „Gdy w listopadzie grzmi,

rolnik dobrze śni”.

Jan Brzechwa w wierszu *Listopad* z dobrym skutkiem tworzył nostalgiczny nastrój jesieni:

> Złote, żółte i czerwone
>
> Opadają liście z drzew,
>
> Złote liście w obcą stronę
>
> Pozanosił wiatru wiew.
>
> […]
>
> W mokrych cieniach listopada
>
> Może ktoś zabłąkał się?
>
> Nie, to tylko pies zajada.
>
> Pomyśl także i o psie.

Z licznych szkolnych wieczorków rocznicowych przychodzą do nas po latach strofy listopadowych wierszyków:

> Dzisiaj wielka jest rocznica,
>
> Jedenasty listopada.
>
> Tym, co zmarli za ojczyznę,
>
> Hołd wdzięczności Polska składa…

Synowa Wyspiańskiego, Leokadia (zob. „Śpiący Staś”) 10 stycznia 2007 roku mówiła mi w katowickim Teatrze, że jeszcze jako uczennica jednego z krakowskich liceów w którąś z rocznic 11 Listopada z wielkim przejęciem recytowała na akademii fragmenty „Wyzwolenia” swojego przyszłego teścia. Listopadowe święto wrosło w świadomość całych pokoleń Polaków w Kraju i za jego granicami…

Listopad, niby to dość ponury miesiąc, ale kończy się radośnie – Andrzejkami, obrośniętego dobrymi wróżbami i całą wspaniałą, barwną ludową obrzędowością. Jest to dzień dla mnie szczególnie ważny. Jestem synem Andrzeja, ojcem Andrzeja; sam zaś mam drugie imię – Andrzej.



Fot. pixabay

Prof. Włodzimierz Wójcik (1932-2012) – *historyk literatury, krytyk, eseista, autor prac o współczesnej literaturze polskiej, profesor honorowy Uniwersytetu Śląskiego w Katowicach.*

*

Zobacz też:

> Październikowy gwiazdozbiór

Lwów Stanisława Lema



Lwów, panorama, fot. Anna Gordijewska

Album opracowany przez Annę Gordijewską i Mariusza Olbromskiego prowadzi czytelnika poprzez lwowskie życie pisarza, łącząc stary świat z pocztówek i fotografii z obrazem miasta, który znał Stanisław Lem. Zachowane do dziś detale wprowadzają w klimat dzieciństwa i czasów szkolnych bohatera. Patrząc na klatkę schodową, drzwi wejściowe do mieszkania Państwa Lemów, ozdobny sufit na który patrzył mały Staś, czy widok z okna na podwórko, gdzie występowali artyści, powodują,

że mimo woli czytelnik przenosi się do świata, który ukształtował przyszłego pisarza. Poznajemy też szkołę im. Karola Szajnochy, widzimy piękny widok na miasto z jego klasy, lwowskie uliczki, którymi chodził, to wszystko stwarza niepowtarzalny klimat. Album to nie tylko podróż lwowskimi śladami Stanisława Lema, ale też zapis ulotnych chwil zamkniętych w szczegółach. *(Redakcja).*



L
W
Ó
W

Anna Gordijewska (zdjęcia), Mariusz Olbromski (tekst), Lwów Stanisława Lema, wyd. Biblioteka Kuriera Galicyjskiego, Lwów 2021 r.

Wstęp *(fragm.)*

Czym jest pamięć? Czy swego rodzaju sejfem czasu, z którego można wyjąć w każdej chwili te same fakty, odczucia, zdarzenia? Nie. We wstępie do „Wysokiego Zamku", prozy autobiograficznej, Stanisław Lem pisze, że jego „rysopis pamięci" jest niepełny. (…) Mimo to, po jego lekturze każdy czytelnik jest ubogacony o wiedzę nie tylko dotyczącą biografii Lema, ale miejsca i czasu, w którym przyszło poznawać mu najbliższe otoczenie, rodzinny Lwów, otaczającą go rzeczywistość. Bo tak faktycznie książka ta jest meandryczną opowieścią o wzrastaniu fizycznym, a przede wszystkim intelektualnym, o poznawaniu świata przez młodego lwowianina w rodzinnym domu i mieście, które do końca życia uważał za najpiękniejsze na świecie. Stąd krótkie opisy – wspomnienia, nie tylko osób, ale i kątów domowych, kamienicy, w której przyszedł na świat, bliższych i dalszych jej okolic, wędrówek po mieście – są wracającym na kartach tego dzieła *leitmotivem*. (…)



Tablica pamiątkowa na ścianie kamienicy przy ul. Brajerowskiej 4, w której mieszkał Stanisław Lem



Fragment klatki schodowej i drzwi wejściowe do mieszkania Lemów

*

Stanisław Herman Lem urodził się w wolnej Polsce 13 września 1921 roku, choć w jego metryce ze względu na przesąd wpisano datę o dzień wcześniejszą, w mieście określanym najczęściej mianem Semper Fidelis. (…) Przyszły pisarz przyszedł na świat w kamienicy państwa Lemów przy ulicy Brajerowskiej 4, dziś

Bohdana Łepkiego, w mieszkaniu na drugim piętrze. Ojciec jego Samuel, absolwent lwowskiego uniwersytetu, był wziętym laryngologiem, prowadził w domu praktykę lekarską, pracował też we lwowskiej klinice. Stanisław był jedynakiem, rozpieszczanym przez ojca i matkę Sabinę, z domu Woller, która zajmowała się wychowaniem syna i domem.

Talent literacki odziedziczył zapewne po ojcu, który we wczesnej młodości publikował wiersze i prozę w lwowskiej prasie, ale później poświęcił się medycynie i pracy zawodowej. W stulecie urodzin Stanisława Lema, na fasadzie jego rodzinnego domu, umieszczono skromną tablicę w języku ukraińskim, polskim i angielskim. Wędrujący po Lwowie przechodzeń mijając ją może nie uświadamiać sobie w pełni, że właśnie ten dom jest nie tylko miejscem narodzin światowej sławy pisarza, w którym wzrastał i się wychowywał, ale że stał się on także jedną z legend literackich. Bo właśnie ta kamienica została najbardziej wyraziście przedstawiona, pośród jakże wielu miejsc Lwowa, w „Wysokim Zamku”.



Piec w gabinecie Samuela Lema, ojca pisarza



Widok na balkon z gabinetu ojca pisarza, Samuela Lema

*

To w niej, żyjącej rytmem codziennych zajęć rodziny Lemów, włączonym w wielki rytm miasta, mały Staś poznawał świat, najpierw na czworakach. Odgłosy pojawiające się od strony ulicy, jak i docierające na podwórku nawoływania wędrownych rzemieślników, żebraków, muzyki towarzyszącej występom zespołów akrobatycznych, zmieszane z głosami rodziców były

jego pierwszymi doznaniami akustycznymi. To w niej poznawał zapachy, smak nie tylko słodyczy i potraw, ale i nadgryzanej wielkiej pieczęci lwowskiego uniwersytetu na dyplomie ukończenia tej uczelni przez ojca. A później, gdy nieco wydoroślał, wędrując z pomieszczenia do pomieszczenia, chłonął oczyma zdumionego dziecka kształty i barwy przedmiotów w poszczególnych pokojach, które po latach, z konieczności wybiórczo, acz ciekawie, opisał.

Stąd wiemy, że mieszkanie państwa Lemów składało się z sześciu pomieszczeń: przedpokoju wejściowego, sypialni, gabinetu pana domu, jadalni, kuchni, oraz przedpokoju i gabinetu laryngologicznego ojca. W pokojach były duże i wysokie piece w stylu secesyjnym z kafli popękanych w siateczkę. Każde z tych pomieszczeń, a także większość mebli została uwieczniona słowem. Niektóre przedmioty, nawet drobne, mają osobne i ciekawe „portrety". Swój zmienny wizerunek – rosnącego szkraba-malca, później doroślejącego gimnazjalisty, wpisał w różnego rodzaju sceny domowe, takie jak na przykład pranie bielizny, maglowanie i prasowanie. Również opisuje sceny pełne humoru, jak choćby wspomnienie karmienia małego Stasia, podczas którego ojciec musiał stać na stole i otwierać i zamykać parasol.



Balkony w kamienicy Lemów przy ul. Brajerowskiej 4 (obecnie Bohdana Łepkiego) od strony podwórka

To tam rozwijały się w samotności jego różnorodne zainteresowania, oglądanie rysunków w rozlicznych książkach medycznych ojca w jego bibliotece, czy w niemieckojęzycznej encyklopedii Brockhausa, grubych tomach przynoszonych od wujka Mundka. Namiętne czytanie książek, później także z własnej biblioteki, w której znalazły się nie tylko pozycje z serii „Cuda Przyrody", czy „Tajemnice Wszechświata", ale też, między innymi, dzieła Aleksandra Fredry i Juliusza Słowackiego, a więc pisarzy związanych biografią i twórczością z Kresami, stały się w okresie gimnazjalnym jego ulubionym zajęciem.

To tam też, w tym mieszkaniu, rozwijało się domowe

majsterkowanie małego Lema, które daleko wykraczało poza tego typu działania jego rówieśników. Ciekawość budowy różnych urządzeń zrazu pobudzała go do ich dewastacji, na początku zwyczajnie przy pomocy młotka. W okresie późniejszym zajmował się budowaniem coraz bardziej skomplikowanych konstrukcji. Budował elektryczne aparaty, maszynę Wimshursta oraz induktor Ruhmkorffa, transformator Tesli i wiele innych. Zajmował się też teorią, zapisywał w grubych zeszytach swe pomysły i rysował ich „szkice techniczne", a wśród nich na przykład model samolotu pionowego startu, „wiosło z łopatką w kształcie parasola, który pod wpływem oporu stawianego przez wodę sam się otwierał i zamykał" i wiele innych. (…)



Widok z okna klasy dawnego II Państwowego Gimnazjum im. Karola Szajnochy na wieżę Korniakta

Z gniazda rodzinnego wędrował też od najmłodszych lat po kilkanaście razy w roku razem z ojcem na Wysoki Zamek – do tego miejsca wyjątkowego dla lwowian, górującego podniebnie nad miastem i okolicą – by przemierzać tam aleje i ścieżki, patrzeć na rozciągającą się u stóp wspaniała panoramę prastarego grodu. Na jedyny na świecie wizerunek , który naszkicował później z takim mistrzostwem swym słowem. (…) „Wysoki Zamek” Lema jest także – w innym znaczeniu, sam w

sobie „twierdzą”, bo słowo pisarza jest z czasem bardziej trwałe niż mur obronny i kamień. (…)

Mariusz Olbromski

*



Ruiny murów obronnych Wysokiego Zamku



Ozdobna grota na Wysokim Zamku z lwami autorstwa Bernarda Dickemboscha przeniesionymi z lwowskiego ratusza. Nad wejściem herb E. Syksta i J. Lorencowicza z XVII w. pod datą 15 Aug(usta) 1841 r.

Fotografie autorstwa Anny Gordijewskiej pochodza z albumu „Lwów Stanisława Lema”.

*

Zobacz też:

> Fredro z Krainy Humoru

Kraina Wesołych Nauk, czyli Ogród Doświadczeń imienia Stanisława Lema w Krakowie

Jan Lechoń – w służbie Polsce i Polonii



Jan Lechoń, portret autorstwa Romana Kramsztyka (1919)

Krzysztof Langowski *(Nowy Jork)*

Spoglądając z obecnej perspektywy na dzieje polskiego wychodźstwa niepodległościowego na terenie Stanów Zjednoczonych podczas II wojny światowej i po jej zakończeniu w 1945 r. nie sposób jej sobie wyobrazić bez znaczących osobowości. Te właśnie indywidualności swoim poświęceniem, działalnością polityczną, społeczną i jednocześnie troską o zachowanie narodowych imponderabiliów w walce z

komunistycznymi wpływami na polonijne środowisko niepodległościowe dawały wyraźne świadectwo istnienia poza Polską wolnej myśli w utrwalaniu tradycji, kultury i prawdy historycznej narodu polskiego. Wśród nich bez wahania możemy wskazać Jana Lechonia.

Jan Lechoń (właściwie: Leszek Józef Serafinowicz), urodził się 13 marca 1899 r. w Warszawie. W latach 1907/1908 rozpoczął naukę w szkole im. Stanisława Staszica z polskim językiem wykładowym, a w 1911 r. przeniósł się do szkoły klasycznej im. Emiliana Konopczyńskiego. W grudniu 1912 r. dzięki nakładowi finansowemu jego ojca Władysława ukazał się jego debiutancki tomik wierszy pod tytułem „Na złotym polu". Trzy lata później w 1914 r. ukazał się kolejny tomik „Po różnych ścieżkach". Oba zbiory wierszy ukazały się pod pseudonimem Jan Lechoń. W 1916 r. Lechoń zdał maturę i rozpoczął studia z zakresu filologii polskiej na wydziale filozoficznym Uniwersytetu Warszawskiego, jednak nigdy ich nie ukończył. W tym okresie współredagował czasopismo „Pro Arte et Studio". Był również współzałożycielem kawiarni „Pod Pikadorem", a także założonej 6 grudnia 1919 r. wspólnie z Kazimierzem Wierzyńskim i Julianem Tuwimem grupy poetyckiej „Skamander".

W latach 1919-1920 w okresie wojny polsko-bolszewickiej Lechoń był zatrudniony w Biurze Prasowym Naczelnego Wodza Józefa Piłsudskiego. Wspominając później Lechonia Zdzisław

Czermański pisząc na jego temat stwierdził, że

> Żołnierzem nigdy nie był. Brak żołnierskiej karty nieraz mu dokuczał, ale też rozumiał dobrze, że na żołnierza się nie nadawał. Bez nerwowej szarpaniny i wysiłku nawet parasola otworzyć nie mógł, a cóż by to dopiero było ze złożeniem się z karabinu! A gdyby ten karabin mu dali, pewny jestem, że zacząłby strzelać z przejęcia i z gorliwości na długo przed bitwą i to we wszystkich kierunkach.

W latach 1926-1929 Lechoń był redaktorem pisma satyrycznego „Cyrulik Warszawski". Z prowadzeniem tego pisma wiąże się także historia związana z częstymi pobytami Lechonia w znanej w środowisku przede wszystkim artystycznym Warszawy cukierni „Ziemiańska". Żartobliwą relację na ten temat przekazał także Zdzisław Czermański, który pisał, że właściciel cukierni Albrecht po przeprowadzonym remoncie w 1927 r. zwrócił się do Lechonia z pytaniem

> Czy nie uważałby on stolika na półpiętrze za najodpowiedniejszy do stałego zarezerwowania dla panów artystów Leszek w kilku susach wskoczył na półpiętro, usiadł na skórzanej kanapce i propozycję Albrechta przyjął. Od tego czasu Leszek na półpiętrze gospodarzył terroryzując i

> wystraszając od stolika wszystkich niemiłych mu przysiadaczy. Byłem świadkiem jak gen. Bolesław Wieniawa-Długoszowski z poważną miną zbiegł po schodach w dół do zbliżającego się Leszka, żeby mu wyjaśnić dlaczego pozwolił sobie wziąć ze sobą na półpiętro nieznanego osobnika. – Człowiek z kresów, – mówił Wieniawa, – jechał całą noc. Był zmęczony. Wojewoda. Posadziłem go tutaj na chwilę. Jak odpocznie to pójdzie.

Jan Lechoń wziął 1927 r. czynny udział w sprowadzeniu z Francji do Polski prochów Juliusza Słowackiego, który został następnie pochowany na Wawelu w Krakowie. Od 1930 r. przez kolejne dziewięć lat Lechoń był attaché kulturalnym w polskiej ambasadzie w Paryżu. Zdzisław Czermański wspominając po latach pierwszy okres działalności Lechonia w tym mieście pisał, że

> Onieśmielony nieznajomością języka francuskiego siadywał często na pustym tarasie dzisiaj sławnej Café Flore i żeby nie było żadnej kwestii wskazywał palcem na swoją pierś, mówiąc do kelnera głuchszym niż zwykle głosem: – Un café noir – por moi. Płacił za wszystko banknotami i po dwóch tygodniach tego procederu miał po kieszeniach same drobne monety. Sypały się z niego, i brzęczał nimi cały. A wydatnością swoich piersi dziwił, bo nikt się nie domyślał że

> nosi bilon w dwóch portfelach na piersi.

Po klęsce Francji w 1940 r. Lechoń wyjechał do Brazylii, a następnie dotarł w dniu 11 sierpnia 1941 r. na statku „Urugwaj" do Nowym Jorku, gdzie zamieszkał na stałe. Natychmiast zaangażował się w życie miejscowego środowiska niepodległościowego Polonii amerykańskiej. Był darzony przyjaźnią znajdujących się w Stanach Zjednoczonych m.in. światowej sławy klawesynistki Wandy Landowskiej, malarza Rafała Malczewskiego, a także Kazimierza Wierzyńskigo. Po przyjeździe nawiązał także współpracę z przybyłymi w tym samym roku do Stanów Zjednoczonych piłsudczykami Ignacym Matuszewskim, Henrykiem Floyrem-Rajchmanem i Wacławem Jędrzejewiczem. Pisząc na ten temat w okresie późniejszym Jędrzejewicz stwierdził:

> Przypominam sobie takie wieczory i noce w ciemnym mieszkaniu Rajchmana na 115 ulicy West, koło Uniwersytetu Columbia. W jednym pokoju Halina Wierzyńska pisała na maszynie projekt przemówienia prezesa KNAPP-a pod dyktando Matuszewskiego, w drugim Halina Matuszewska stukała jakąś odezwę dyktowaną przez Rajchmana, gdzieś po kątach Jan Lechoń i Kazimierz Wierzyński ślęczeli nad zapisanymi już stronami, poprawiając je stylistycznie, coraz to proponując jakieś zmiany czy dodatki, dodając znakomite

> cytaty czy skróty przydługich zdań.



Jan Lechoń, gen. Tadeusz Bór-Komorowski i Kazimierz Wierzyński w siedzibie redakcji „Tygodnika Polskiego” w Nowym Jorku, czerwiec 1946 r.

Wkrótce po przyjeździe Lechoń wziął czynny udział w charakterze propagatora polskiej kultury. Z okazji obchodzonej w dniu 25 września 1941 r. na Uniwersytecie Columbia zorganizowano uroczystość poświęconą 25. rocznicy działalności wydziału polonistyki na tej właśnie uczelni. Lechoń był głównym

mówcą w trakcie tej uroczystości obok ówczesnego szefa wydziału, prof. Clarence'a A. Mondinga. Na łamach wydawanego w Nowym Jorku dziennika „Nowy Świat" zapowiadając planowane wydarzenie pisano, wyrażając jednocześnie nadzieję, że

> w czasach, gdy kultura polska jest systematycznie niszczona przez najeźdźcę, należy się spodziewać, że Polonia z uznaniem przyjmie inicjatywę Uniwersytetu Columbia i tłumnie przybędzie, by uczcić tak ważny jubileusz.

W treści zaprezentowanego przez siebie odczytu zatytułowanego „Przyszłość kultury polskiej" Lechoń odwołał się do wojennej rzeczywistości stwierdzając, że

> gdy kultura polska leży w gruzach i tropi się każdy jej ślad, aby go zatrzeć, zdawałoby się rzeczą niemożliwą, niemal zuchwałą, mówić o przyszłości tej kultury.

Ukazał następnie tragiczne dzieje Polaków, najazdy tatarskie, krzyżackie czy szwedzkie, ani

> rozdarcie i pogrzebanie Polski na oczach Europy samolubnej

> i bezsilnej nie pogrzebały duszy polskiej.

Lechoń podkreślił jednocześnie gotowość ze strony Polaków do współpracy w odbudowie po zakończeniu działań wojennych Europy, przedstawiając przy tym wizję przyszłości, która była oparta na tendencjach federalistycznych, które

> Polska już dawno uważała za swoje i wcielała je w życie, ponieważ idea jagiellońska była to właśnie owa federacja, o której dziś się mówi.

Odwołał się jednocześnie do doświadczeń słuchaczy, wskazując, że symbol Polski jagiellońskiej może być źródłem dumy zwłaszcza dla rodaków w Stanach Zjednoczonych,

> mających przed sobą wzór nowoczesnego państwa, które rozmachem twórczego wysiłku, entuzjazmem pracy i zdobywania, najgłębszym instynktem demokratycznym, zdołało stworzyć i spaja coraz bardziej jedność różnych narodów.

Wybór poety na głównego mówcę wieczoru był z pewnością celowym ruchem, który był obliczony na sukces zabiegów

patriotycznych i propagandowych. Podobnie stało się także później, kiedy Lechoń wziął udział obok Kazimierza Wierzyńskiego i Juliana Tuwima w świątecznej audycji radiowej nadawanej przez lokalną nowojorską stację WRUL, która była adresowana do Polski i Polaków rozrzuconych po świecie. W jej trakcie trzej poeci wygłosili wzruszające i zarazem podtrzymujące narodowego ducha w swej treści przemówienia.

Dzięki posiadanemu przez Lechonia doświadczeniu w dziedzinie promocji kultury polskiej, które nabył podczas pobytu we Francji i Brazylii szybko został zatrudniony przez podlegające polskiemu rządowi na uchodźstwie i kierowane w Nowym Jorku przez Stefana Roppa *Polish Information Center*. Zlecono mu do realizacji przez ambasadę RP w Waszyngtonie m.in. opracowanie dla amerykańskiego Ministerstwa Wojny cyklu audycji dotyczących Polski. Miały się one zmieścić w serii regularnych programów radiowych, które zostały przeznaczone dla amerykańskich żołnierzy. Audycje te miały za zadanie w przystępny sposób nauczać o historii i tradycji narodów sprzymierzonych, na przykładzie podanych ważniejszych wydarzeń z dziejów narodowych, a także ukazania sylwetek najważniejszych postaci wywodzących się z danego kraju. Zamierzenia te miały na celu przede wszystkim osiągnięcie celu propagandowego, którym było zainteresowanie przedstawicieli innych państw i społeczności, kultur i języków sprawami Polski, jej historią i osiągnięciami w dziedzinie nauki i kultury, a także

tragicznej codzienności w trakcie trwających działań wojennych.

W tym okresie Lechoń zajmował się także wydawaniem podlegającego polskim władzom i wydawanego w Nowym Jorku „Tygodnika Polskiego”. Jego łamy zostały przez niego szeroko otwarte od maja 1942 r. dla utworzonego w Nowym Jorku Polskiego Instytutu Naukowego. Pismo stało się w krótkim czasie swoistą kroniką życia i działalności tej instytucji na bieżąco, ze względu na publikowane w nim zapowiedzi wszystkich organizowanych i odbywających się tam wydarzeń, konferencji, odczytów i spotkań, zaproszeń do udziału w nich, a następnie ich omawiania, które niejednokrotnie były przygotowane przez samego Lechonia. Na łamach tygodnika Lechoń stanowczo zareagował na działalność komunistycznego agitatora którym był prof. Oskar Lange. W tekście niepodpisanym wprawdzie, ale napisanym przez redaktora naczelnego, którym był Lechoń ukazał się na początku 1944 r. artykuł wstępny pt. „Nowa Targowica”. Tekst ten poprzedzał list protestacyjny wystosowany przez 17 polskich profesorów, którzy wykładali na uczelniach w Stanach Zjednoczonych i Kanadzie przeciw wystąpieniu Oskara Langego. Pisząc na temat działalności Langego i jego politycznych towarzyszy, w tym także współpracującego z nimi Juliana Tuwima, poeta przyrównał ich do Targowicy. Stanowczo więc stwierdził

> Ta zdrada nie jest szaleństwem, nie jest jakimś odosobnionym wybrykiem czy jakąś jednostkową degeneracją; jest to zdrada zorganizowana, czynna, karna, świadoma swych celów, ważąca każdy krok, raz układna, raz pełna niepojętej zbrodniczej buty; jej cel jest jasny, bo przecież otwarcie go głosi: oddanie polskiej ziemi wrogom. Nie boimy się o wpływ nowej Targowicy na naród polski, bo ludzie ci po prostu tego wpływu mieć nie mogą, jak nie może go mieć Julian Tuwim, tam, gdzie w szaleńczym zaślepieniu pychy chce stanąć w poprzek instynktowi całego męczeńskiego i bohaterskiego narodu, całego – aż do naprawdę polskich komunistów, jak Władysław Broniewski.



Jan Lechoń w pensjonacie Janiny i Stanisława Strzetelskich w Sea Cliff na Long Island, II poł. lat 40. XX wieku

Jan Lechoń angażując się w prowadzenie pisma „Tygodnik Polski" podejmował przez kolejne lata starania o zdobycie koniecznych do jego prowadzenia funduszy. Świadczy o tym fakcie także wyraźnie pismo, które wysłał 7 sierpnia 1945 r. do prezesa Kongresu Polonii Amerykańskiej Karola Rozmarka

> Nasz przyjaciel Artur Rodziński poinformował już Pana

> Prezesa o warunkach w jakich znalazł się *„Tygodnik Polski”* w związku z ogólną sytuacją. Parę miesięcy temu w dłuższym, oparzonym szczegółowymi danymi finansowymi, piśmie zwracaliśmy się do Kongresu Polonii z prośbą o dopomożenie nam w utrzymaniu tej jedynej już dziś na świecie wolnej placówki literatury polskiej i rozpowszechniania słowa polskiego pomiędzy wojsko polskie i niezliczone rzesze uchodźców na całym świecie. Tygodnik został pozbawiony wpływu z prenumerat wojskowych, z drugiej strony wzrosły wielokrotnie zapotrzebowania na nasze pismo zarówno ze strony żołnierzy jak też uwolnionych jeńców, pozbawionych słowa polskiego i domagających się o nie rozpaczliwie. To skłania nas, aby zwrócić się do Wielce Szanownego Pana Prezesa, z prośbą o jego interwencję i przychylną decyzję. Prosimy niniejszym, aby Kongres Polonii zaprenumerował tysiąc egzemplarzy *„Tygodnika Polskiego”* dla wojska i uwolnionych jeńców.

Niestety prośba Lechonia nie spotkała się z przychylną reakcją ze strony kierownictwa KPA.

Jan Lechoń utrzymywał jednocześnie stały kontakt z działaczami Instytutu Józefa Piłsudskiego w Nowym Jorku, a w szczególności z Henrykiem Floyarem-Rajchmanem, który starał się wykorzystać talent pisarski poety do realizacji działalności

politycznej zarówno w ramach założonego przez piłsudczyków współpracujących z gronem działaczy polonijnych w czerwcu 1942 r. Komitetu Narodowego Amerykanów Polskiego Pochodzenia, a także założonego dwa lata później Kongresu Polonii Amerykańskiej. Świadczy o tym m.in. list Lechonia do Rajchmana w którym pisał on o swoim spotkaniu w Detroit z prezesem KNAPP Henrykiem Kogutem. Lechoń pisał:

> Wczoraj miałem miłą wizytę pana Koguta i długą nocną z nim rodaków rozmowę. Dziś powtórka”.

Z kolei Rajchman pisał do Lechonia 2 października 1945 r. na temat konieczności przygotowania przez niego tekstów przeznaczonych dla kierownictwa Kongresu Polonii Amerykańskiej

> W związku z naszą rozmową powracam do naszego porozumienia i mojej prośby, abyś zechciał napisać projekt *„Ślubowania”* do Kraju, i szkic 2-3 stronicowy *„Odezwy do Polonii”* oraz część emocjonalną do przemówienia pana Karola Rozmarka. Według Twego życzenia posyłam Ci tekst *„Posłania do Narodu Polskiego„*, które uchwalono w Buffalo, w maju zeszłego roku dotarło parę miesięcy później do Kraju. Ponadto załączam *„Odezwę do Polonii”* z 29 czerwca 1945 r.,

> która jest ostatnim kalendarzowo wystąpieniem Zarządu Kongresu skierowanym do Polonii.

Lechoń, przesyłając później przygotowany przez siebie tekst pisał do Rajchmana z satysfakcją

> Drogi Henryku! Oto tekst obiecany.

Niestety nie zawsze Lechoń mógł się wywiązać na czas z podjętego przez siebie zobowiązania i dlatego też pisząc do Rajchmana 3 marca 1949 r. stwierdził

> Drogi Henryku! Piszę do Ciebie, aby najmocniej i najserdeczniej przeprosić Ciebie: także za sprawiony Wam zawód i kłopot i powiedzieć Wam jak bardzo jestem zmartwiony że nie mogłem Ci wykonać tej przysługi. Znałem jej wagę i tym bardziej chciałem tę pracę wykonać – niestety przeciwności nie do przebycia pokrzyżowały te moje zamiary.



Po mszy w kościele Św. Stanisława przy 7 ulicy na Manhattanie. Trumnę Jana Lechonia niosą (od lewej strony) Aleksander Janta, Józef Lipski, gen. Władysław Anders, Adam Ciołkosz, gen. Wincenty Kowalski i Ziemowit Karpiński

Jan Lechoń zmarł śmiercią samobójczą wyskakując 8 czerwca 1956 r. z okna na 12 piętrze hotelu Hudson stojącego przy 57 ulicy i 10 Alei w Nowym Jorku. W uroczystościach pogrzebowych w kościele św. Stanisława na Manhattanie a także później na cmentarzu Calvary I na Quensie wzięli udział m.in. generałowie Władysław Anders i Wincenty Kowalski, a także Wacław Jędrzejewicz, Kazimierz Wierzyński, Aleksander Janta, Józef

Lipski i Adam Ciołosz. Przemawiając nad trumną swojego przyjaciela Kazimierz Wierzyński powiedział m.in.

Żegnam Go w imieniu pisarzy i w imieniu przyjaciół. Miał ich wielu, a nawet fanatycznych. Potrzebował przyjaźni przez całe życie i szukał jej jak lekarstwa na dokuczliwą samotność. Myśmy go też potrzebowali. Nikt nie mógł się oprzeć jego fascynującej osobowości i wyrzec się dumy, że był z nim w przyjaźni. Leszku kochany, żegnam Cię.

Artykuł ukazał się w „Kurierze Plus", Nowy Jork, 6 listopada 2021 r.

*

Zobacz też:

> Janusz Krzyżanowski wśród Polonii

> Wacław Jędrzejewicz w 128. rocznicę swoich urodzin

Październikowy gwiazdozbiór



Październik, fot. pixabay

Włodzimierz Wójcik *(Sosnowiec)*

Co to są paździerze? Odpadki lnu, lub konopi. Pojawiają się w dziesiątym miesiącu roku i nadają temu miesiącowi nazwę. Z niemieckiej tradycji pochodzi nazwa „winnik” – od czasu winobrania.

Jakież mamy ważne rocznice w październiku. Rzecz paradoksalna. Oto rocznica Rewolucji Październikowej była niegdyś obchodzona z dość ambiwalentnymi uczuciami w… listopadzie. Ale na szczęście to przeszłość… Zapowiadano „świetlane zorze dla ludzkości”, a przyszedł mrok i ból milionów. Współcześnie ważne rocznice są nam mentalnie bliższe. 17 października w Paryżu przy *Placu Vandome* nastąpił zgon Fryderyka Chopina. To w paryskim *Parku Monceau* przy marmurowym pomniku mówiłem sobie króciutki liryk z tomu *Poezji* Kazimierza Przerwy-Tetmajera (seria II, XVI) poświęcony wielkiemu Polakowi:

> Z daleka ku mnie płyną
>
> Chopina smutne tony
>
> I duszą mą owłada
>
> Żal nieskończony.
>
> *
>
> Chciałbym wyciągnąć ręce
>
> i lecieć gdzieś w przestworza,

> w wieczornych cichych mgławic
>
> bezdenne morza.
>
> *
>
> Coś rwie mi serce z piersi,
>
> od ziemi mię odtrąca – –
>
> a gardło moje dławi
>
> gorycz paląca…

Chopin!… Taki dawny i jednocześnie aktualny, żywy. Po odwołaniu stanu wojennego bywałem dość często w Paryżu na Wyspie u Romanowiczów. Zachodziłem systematycznie na cmentarz *Pere Lachaise*. Często podchodzili do mnie młodzi Polacy, których 13 grudnia 1981 roku zastał nad Sekwaną. Tacy czasowi emigranci… Pytali, co w Kraju, co mają robić. Zwykle odpowiadałem, że decyzja do nich należy. Po chwili dawałem sygnał: „Skoro pochylacie się nad ciałem Chopina, skłońcie się też przed jego sercem w Kościele Świętego Krzyża przy Krakowskim Przedmieściu w Warszawie”.

Październik!… Jarosław Iwaszkiewicz bywał wielekroć zapatrzony w październikowe niebo, by potem napisać w roku 1942 słynne *Plejady* (wydane w 1946) z pysznym początkiem: „Plejady to gwiazdozbiór już październikowy”. Kusił poetę bezustannie ten niosący przymrozki miesiąc. W tomie *Krągły rok* (1967) pomieścił Iwaszkiewicz wiersz *Październik*, dzięki któremu niemal wszystkimi zmysłami odbieramy smak i urodę polskiej prowincji:

> Ptaki październikowe
>
> schylają zmęczone głowy
>
> *
>
> jak w zadymionych zwierciadłach
>
> stoją jesienne sady
>
> anioły i papugi
>
> obsiadły winogrady
>
> *

jeszcze te trochę liści

jeszcze jagód dwie kiści

i okruszyny w koszyku

*

już po wiosennym krzyku

już po zielonych godach

śpi papierowa uroda

*

już wszyscy gwiezdni ptacy

zaświecili

już wszyscy letni bracia

ulecieli

*

> zasypia jeden za drugim
>
> pod liściem przywiędniętym
>
> *
>
> i nikt już nie pamięta
>
> ja może jeden pamiętam
>
> *
>
> i może jeszcze kto drugi

Podobnie, jak inne miesiące, październik także obrasta w przysłowia. Oto one: „W październiku, gdy liść z drzewa niesporo opada, późną to wiosnę zapowiada”; „W październiku kawek gromada, słotne dni nam zapowiada”; „Gdy październik mroźny, to nie będzie styczeń groźny”; „Październik chodzi po kraju, cichnie ptactwo w gaju”; „Gdy w październiku ciepło chadza, w lutym mrozy naprowadza”; „Październik stoi u dwora, wykop ziemniaki z pola”; „W październiku jak na śmietniku”; „W październiku myśli z ptakami na północ odlatują”…



Jan Matejko, Królowa Jadwiga, fot. Wikimedia Commons

Najprzedniejsze jest jednak przysłowie: „Na Jadwigi, z kapustą na wyścigi”. Dlaczego „na wyścigi”, z kim mamy się ścigać? Ano z tu i tam atakującym nas śniegiem, czy nawet z dojmującymi śnieżycami. Właśnie na dzień 15 października, czyli na imieniny Teresy i Jadwigi, niegdyś dość często pojawiały się opady śniegu. Pospiesznie z pola zbierano kapustę, która zwykle wędrowała do ziemnych piwnic, niekiedy do kopców. Część główek kapusty szatkowano, udeptywano w drewnianych bekach, kiszono; często z marchwią, kiedy indziej z jabłkami, wielekroć z burakami, aby przydać kapuście czerwonawego koloru. Deptanie kapusty – a nie ubijanie jej drewnianymi tłuczkami – poprzedzał swoisty rytuał. Przez kilka godzin młodzieńcy wiejscy moczyli w cebrzyku nogi, szorowali je, następnie wkładali trzyćwierciowe lniane

kalesony i wchodzili do dębowej beczki wysokiej na jakieś półtora metra. Zwykle kobiety szatkowały główki kapusty, „urobek” sukcesywnie wrzucały do beczki. Deptanie polegało na obracaniu się wokół osi tak, aby raz pięty były po trosze od strony środkowej, to znów od zewnątrz – przy klepkach beczki. Nadmiar soków wybierano „bąclowymi” – kamiennymi – czerpakami. Jeśli ktoś – nawet najbiedniejszy – miał na sezon zimowy „bekę” z kapustą oraz parę kwintali ziemniaków, uważano, że nie umrze do „przednówka” z głodu…

Te październikowe Jadwigi, Jadźki i Jagody w pejzażu mojej biografii stanowią zjawisko fascynujące, wzbogacają tę biografię. Poprzez wielkie polskie malarstwo i historyczne powieści zapadła w moje serce Królowa Jadwiga. Jestem dumny z tego, że ukończyłem Uczelnię krakowską, którą przed stuleciami ona restytuowała dzięki osobistej hojności. W mojej młodości i dzisiaj w latach senioralnych pochylałem się ze wzruszeniem o nadal się pochylam nad jej jasnym sarkofagiem. Moja babcia po mieczu – Jadwiga Wójcikowa, leży na cmentarzu w Będzinie. Była dobrą prostą kobietą z Sancygniowa, ale też spoczywa na Królewskiej Górze Zamkowej.

Niech długo żyją: siostra wujeczna Jadzia Wójcikówna; szkolne koleżanki: Karczówna-Ślązak, Targowska-Kucia, Wyrzycka-Mazurowa. Z sąsiadek: Jadzia Janiszewska. Ze współpracowników: redaktor Jagoda Krzeszowiec. A to dopiero

początek serdecznej listy…

Przysłowia przysłowiami. Ale ważniejsze jest to, że POLSKI PAŹDZIERNIK przyniósł nam Polakom w roku 1956 wyraźne rozszerzenie sfery wolności… Po październiku przychodzi LISTOPAD. Ten miesiąc też jest nacechowany myślą o wolności. Tak, bo właśnie „listopad to dla Polaków niebezpieczna pora.” Ale do tej sprawy wkrótce wrócimy.

Prof. Włodzimierz Wójcik (1932-2012) – *historyk literatury, krytyk, eseista, autor prac o współczesnej literaturze polskiej, profesor honorowy Uniwersytetu Śląskiego w Katowicach.*

*

Zobacz też:

> Wrzesień pełen wrzosów i… wojennych wspomnień

Bałamuctwa powtarzane w „Księgach Jakubowych”

Adam Wierciński *(Opole)*



Jakub Frank – żydowski mistyk, główny bohater „Ksiąg Jakubowych”, fot. Wikipedia

Poważne i zasłużone wydawnictwo, z uporem godnym lepszej sprawy, próbuje nadal ośmieszać autorkę *Ksiąg Jakubowych*. Nie zdobyło się na konieczną wymianę choćby kilku stronic w kolejnych dodrukach. W ambitnej, choć miejscami przegadanej[1] powieści, z tyloma dygresjami, które czasem męczą i nużą czytelnika, przerywają też one akcję, co przynosi szkodę głównemu bohaterowi, ciągle straszą i śmieszą zdania, które nie pasują do czasu powieściowego. Nie wiedzieć po co pojawiają się dzisiejsze potocyzmy i brzydalstwa z niższego rejestru stylistycznego, a kiedy indziej – słowa i słówka nazbyt pretensjonalne, współczesne atrybuty powagi stylistycznej. Te tam „relacje” czy „problemy”. Dzisiejsze, nadużywane wytrychy

językowe. Ale redaktorom książki to nie przeszkadza. W powieści historycznej, docenionej przez krytykę, a nawet przecenionej, można znaleźć takie zdania: „Decyzja ta znacznie polepszyła jego relacje [sic!] z ojczymem, ktory go nie lubił” albo też: „Ksiądz Chmielowski czuje się nieusatysfakcjonowany [sic!] tym, co udało mu się wypowiedzieć podczas odwiedzin pani Drużbackiej. Bo też niewiele mu się udało, chyba z wrodzonej nieśmiałości”.[2]

Akcja powieści rozgrywa się w XVIII wieku. I takie zdania: „A dlaczego taka postawna kobieta wybrała sobie takiego konusa? Chyba żeby interesy rodziny umocnić, a interesy umacnia się polityką” (s. 68). Tak mieli plotkować o Katarzynie Kossakowskiej bliźni. Narrator zapomniał, że „konus” w XVIII wieku znaczył – „wierzchołek”, „stożek”, a nie – jak w dzisiejszej, prawie koszarowej polszczyźnie – niewysoki mężczyzna. I jeszcze dziwniej: „Ściąga przez głowę swój biskupi strój, przebiera się w zwyczajne łachy [sic!], wkłada na głowę czapę” (s. 854); „Tu przytaszczył [sic!] swoją bibliotekę i zbudował [sic!] dla niej pięknie rzeźbione gabloty” (s. 840); „Mesjasz już przyszedł i niezauważalnie przestawił wajchę świata [sic!], taką jak przy studni” (s. 726); „Nachman wzdycha: kobiety miały z tym zawsze większy problem” (s. 465); „Nagle jego wyobraźnia robi skok [sic!] pod te ich kapoty postrzępione i biskupa męczy obraz [sic!] ich członkow” (s. 602); „Jeden liścik do tego nadętego biskupa smutasa” (s. 515).

Te wszystkie „konusy”, „łachy”, „wajchy” czy „smutasy” nie pasują do powieści historycznej, która według niektórych krytyków mogłaby z powodzeniem konkurować z pisarstwem samego Sienkiewicza. A z czym tu do Sienkiewicza? Z takim językiem. Z „wajchą” i „smutasem”?

Ten Mesjasz, który przyszedł i „przestawił wajchę świata” mógłby się pojawić w powieści Jarosława Haška, ten zwrot pasowałby do kazania wojskowego kapelana. A ten długi i brzydki, prawie niemożliwy do wymówienia przymiotnik – „nieusatysfakcjonowany”? Nie podobałoby się księdzu dziekanowi rohatyńskiemu to brzydalstwo przeniesione w tamten czas. Uwaga cytowanego już krytyka: „całe przedsięwzięcie ma wszelkie cechy pisania współczesnym językiem dla współczesnych czytelników o ograniczonych kompetencjach językowych, żeby zrozumieli i nie musieli po słownikach grzebać…”.[3]

A tacy czytelnicy wiedzą swoje. Jedna z aktorek uczestniczących w nagrywaniu powieści zapewniała: „W prozie Olgi Tokarczuk nie znajduję żadnego zbędnego słowa – mówi nam z kolei Agata Kulesza”.[4] Ani „wajchy”, ani „łachów” nie zauważyła.

Naprawdę zestawiano *Księgi Jakubowe*, nie wiedzieć dlaczego, z powieściami historycznymi Sienkiewicza. Wspominał publicysta:

> monumentalne, 900-stronicowe *Księgi Jakubowe* opowiadające pasjonującą, przedziwną historię Jakuba Franka, założyciela emancypacyjnej, żydowsko–chrześcijańskiej sekty poszukującej Boga, gdzie tylko się da, wywołały gwałtowny spór o dzieje Kresów Rzeczypospolitej – Tokarczuk podważyła [sic!] Sienkiewiczowską kresową idyllę [sic!], zastępując ją wizją świata niewolniczego, skolonizowanego przez polskich panów.[5]

O Sienkiewiczowskiej „idylli" kresowej może rozprawiać tylko ktoś, kto dawno i pobieżnie czytał te powieści „z dawnych lat", wnikliwy czytelnik znajdzie tam więcej barw ciemnych niż jasnych. Stanisław Lem, który ciągle wracał do twórczości powieściowej Sienkiewicza, wyjaśniał:

> Mówiłem już, że to wcale nie jest system dzieł napisanych dla pokrzepienia serc, tylko dla ich przerażenia, wbrew temu, co twierdził sam Sienkiewicz i jego badacze, i dziwi właściwie, czemu Polacy z taką satysfakcją je tyle lat czytają. [Zygmunt] Szweykowski napisał o Trylogii, że to baśń – jaka tam baśń? Historia okrutna i ponura.[6]

A jeszcze ta nieszczęsna „kolonizacja” i ci „polscy panowie” pochodzący z niedawnych podręczników i z dzieł za szybko piszących historykow i publicystów. Nie wspominano tam, że ci „polscy panowie” byli często ruskimi kniaziami i bojarami. Tłumaczył kilkadziesiąt lat temu Paweł Jasienica:

> Czytało się nieraz w przeszłości, czyta i za dni naszych dość uproszczone wywody na temat „zasług pługa polskiego” w tamtych stronach. Dawniej się je sławiło, a teraz pisze, że chłop ruski orał rolę polskiego pana i na tym polegać miała istota sprawy. W rzeczywistości bywało często wręcz przeciwnie – parobek był Polakiem, pan Ukraińcem. […] Teza o kolonialnej eksploatacji Ukrainy przez Polskę wygląda nieco dziwnie, skoro Korona zainwestowała w Ruś to, co najcenniejsze – ludzi. Tysiące uchodźców z Nadwiśla przestało być Polakami raz na zawsze.7

Rozpływali się w ruskim (według dzisiejszej terminologii – ukraińskim) morzu włościanie znad Wisły i *demos* szlachecki z Mazowsza i Podlasia, a przechodzili na katolicyzm i polszczyli się ruscy panowie. Paradoksy historii. Rozprawianie o świecie skolonizowanym – jałowe zajęcie. Nie wszystkie nowinki pasują do naszych realiów. Janusz Tazbir dowodził:

> Wydaje się jednak, że czym innym było nawoływanie do zasiedlania pustych terenów, jak to miało miejsce w stosunku do południowo-wschodnich kresów państwa polskiego, czym innym zaś aprobata dla podboju cudzych ziem z osiadłą już od wieków ludnością. To ostatnie mogło również dotyczyć polskich planów aneksji części terytorium moskiewskiego. Ale znów zabór sąsiedniego terenu trudno uważać za zamiar stworzenia sobie kolonii. […] Tymczasem Dzikie Pola nie zostały włączone do gospodarki polskiej, co więcej nie udało się ich zasiedlić. Można więc co najwyżej snuć hipotezy na temat roli, jaką przeznaczano tym terenom; nie sposób natomiast mówić o koloniach Rzeczypospolitej w dzisiejszym tego słowa znaczeniu.[8]

W najnowszym wydaniu (kolejnym dodruku?) *Ksiąg Jakubowych*, za cichym przyzwoleniem konsultanta historycznego, zostały też powtórzone inne bałamuctwa, o których już kiedyś wspominałem.[9] Redaktorzy wmawiają naiwnym czytelnikom, że to autorka zmieniła nazwę rzeki opływającej Kamieniec Podolski (sfeminizowała ją, Smotrycz nazwała „Smotryczą”), Pobuże przeniosła na Podole, a meczet przezwała minaretem. I opisała taką scenę. Latem 1756 roku bohaterowie powieści, Nachman, Jakub i Szlomo Szor znaleźli się w Kamieńcu Podolskim:

> Stoją teraz we trzech przy kamienieckiej katedrze Piotra i Pawła, w sporym tłumku [sic!], który z przejęciem komentuje ustawianie posągu na wysokiej kolumnie [sic!]. Wydarzenie to ściągnęło wszystkich z okolicznych wiosek oraz z bliższych i dalszych uliczek, a także klientów kramów na rynku; nawet księża wyszli popatrzeć [dziwne byłoby to, gdyby nie przyszli, dla nich to był obowiązek – przyp. A.W.], jak drewniany dźwig podnosi złotą figurę. […] Tłumek [sic!] cofa się nieco. Pracują jacyś obcy robotnicy, a ludzie szepczą, że to z Gdańska, że cała figura odlana została w Gdańsku, pokryta grubo złotem i przez cały miesiąc wieźli ją tutaj na podwodach. Samą zaś kolumnę [sic!] zbudowali jeszcze Turcy i przez lata był tam ich półksiężyc, bo stanowiła ona część minaretu [sic!], w jaki zamienili, bezbożni katedrę. Lecz teraz Panna Najświętsza wróciła i będzie górowała nad miastem i głowami jego mieszkańców (s. 608–607).

Aż trudno uwierzyć, że w kilku zdaniach można pomieścić tyle nieścisłości. A wystarczyło zacytować jedno zdanie z rozprawy Michała Rollego:

> Na pamiątkę odebrania Kamieńca, ustawił biskup Mikołaj Dembowski na szczycie minaretu, na zachowanym tureckim półksiężycu, odlany w Gdańsku ze spiżu posąg Matki

> Boskiej.[10]

Pomylić minaret z meczetem to niemała sztuka redaktorska, jeszcze większa – powtarzać błąd w kilku wydaniach powieści. Kiedy w 1672 roku Turcy zdobyli Podole, kamieniecką katedrę pw. św. św. Piotra i Pawła zamienili na meczet sułtański, a na fundamentach zburzonej kaplicy zbudowali wysoki (36,5 m) minaret. Po 27 latach dopiero wrócił Kamieniec w granice Rzeczypospolitej. Półksiężyc pozostał na minarecie na prośbę okupantów opuszczających miasto. Kilkadziesiąt lat poźniej, w 1756 roku, stanęła tam, odlana w protestanckim Gdańsku, figura Matki Boskiej. Na fundamencie kaplicy stanął minaret, a na minarecie zwieńczonym półksiężycem stoi dotąd statua NMP. Jerzy Stempowski napisał w 1963 roku do Marii Czapskiej: „Zdaje mi się, że nigdzie indziej nie ma takiego nawarstwienia wieków i symbiozy wiar w jednym budynku”.[11]

Bez zmian powtórzone zostało jeszcze jedno wmówienie w powieści. Opowiadał Jakub o Mikołaju Radziwille, który popisywał się znajomością wielu języków, biegle pisał też i czytał po hebrajsku:

> Powiedział też, że już by oficjalnie przeszedł na żydowską religię, gdyby nie to, że się boi. „W Wilnie – rzekł – równe dziesięć lat temu spalono na stosie takiego apostatę. Był to

> niemądry Walentyn Potocki, który w Amsterdamie w dobrej wierze przystąpił z całym sercem do religii mojżeszowej i nie chciał po powrocie do Polski wrócić na łono Kościoła. Poddali go torturom i w końcu spalili. Sam widziałem jego grob w Wilnie. Widziałem, że Żydzi go czcią otaczali, ale życia mu nikt nie wróci". „Na nic się on nam nie przyda" – powiedział po jego wyjściu Jakub. Przeciągnął się tylko i głośno ziewnął (s. 379).

Swoim bohaterom kazała autorka rozprawiać o zmyślonym tyle lat poźniej rzekomym apostacie. Jozef Ignacy Kraszewski wspomniał o nim w 1841 roku, w 3. tomie historii Wilna[12], a w powieści Marcin Mikołaj Radziwiłł zapewniał, że widział jego grób.

Mogłaby autorka (redaktorzy też) przestudiować szkice prof. Janusza Tazbira o wymyślonym w XIX wieku męczenniku[13], a nie powtarzać w nieskończoność wersji powieściowego bohatera. W wywiadzie (ogłoszonym już po śmierci profesora) Tazbir tłumaczył po raz któryś:

> Ten Potocki doczekał się już sztuk teatralnych, powieści i noweli, a jeżeli weźmie się do ręki dowolną starszą encyklopedię żydowską, to łącznie z pracą Mariana Fuksa o wybitnych Polakach, ktorzy przeszli na judaizm, figuruje tam

> ten Potocki nieszczęsny, który w życiu nie istniał.[14]

Tekst ukazał się na łamach londyńskiego PAMIĘTNIKA LITERACKIEGO, czerwiec 2022 r. (tom 63).

*

Olga Tokarczuk, *Księgi Jakubowe*, Krakow 2022, Wydawnictwo Literackie, s. 903.



*

*Dr **Adam Wierciński,** literaturoznawca, krytyk, eseista, publicysta, niestrudzenie upominający sie o czystość języka polskiego i pamięć dla literatury. Autor m.in.: „Przywracanie pamięci” (1997), „O nijaczeniu języka” (2004), „Dyskretny erudyta” (2018).*

*

---

1. Przyznał życzliwy krytyk: „Lektura całości nie była mordęgą, ale też nic by się nie stało, gdyby książka była o 1/3 krotsza, bardziej zwarta, oskubana z wątkow pobocznych i językowo bardziej dopracowana” (Piotr Paziński, *Głowy z przedawnienia się*, „Lampa” 2014, nr 9–10, s. 18–19).

2. Olga Tokarczuk, *Księgi Jakubowe*, [nowe wydanie? kolejny dodruk?], Krakow 2022, Wydawnictwo Literackie, s. 841, 838.

3. Piotr Paziński, dz. cyt., s. 17.

4. Zob. Michał Nogaś, *41 godzin z Jakubem*, „Gazeta Wyborcza” 2020, nr 77, s. 17.

5. Piotr Kofta, *Jest Nobel, a nawet dwa*, „Dziennik Gazeta Prawna” 2029, nr 198, s. A11. Przypominał Adam Poprawa: „Na przykład Przemysław Czapliński przedstawił nie tak dawno tomiszcze Olgi Tokarczuk *Księgi Jakubowe* jako wielką antysienkiewiczowską koncepcję – tak, jakby nie było wcześniej Mrożka, Miłosza ani jeszcze starszego Brzozowskiego (ktorego recepcja zachowała przecież wielokierunkową polemiczną żywotność)” (Adam Poprawa, *Pocałunkow? Schodow?Książek?*, „Nowa Dekada Krakowska” 2016, nr 3, s. 112).

6. Stanisław Lem, *Obrona Sienkiewicza*, „Tygodnik Powszechny” 1996, nr 13, s. 6.

7. Paweł Jasienica, *Rzeczpospolita Obojga Narodow*. Część pierwsza: *Srebrny wiek*, wyd. 2, Warszawa 1982, s. 211–212.

8. Janusz Tazbir, *Pisma wybrane*, t. 3: *Sarmaci i świat*, Krakow 2001, s. 209, 210.

9. Zob. *Bałamutne opowieści w powieści*, „Pamiętnik Literacki” [Londyn] 2016, t. LII, s. 119–122; *Za szybkie pisanie (58)*, „Indeks” [Opole] 2019, nr 9–10, s. 62–63.

10. Michał Rolle, *Rzemiennym dyszlem*, Lwow 1914, s. 17–18.

11. Jerzy Stempowski, *Listy*, wybor i redakcja Barbara

Toruńczyk, Warszawa 2000, s. 31.

12. Janusz Tazbir, *Męczennik, ktory nie istniał. Walenty Potocki*, [w:] tenże, *Polacy na Kremlu i inne historyje*, Warszawa 2005, s. 200. Tazbir przypomniał też, że Rita Fink trafiła na wzmiankę o tej legendzie, ogłoszoną już w 1822 roku w londyńskim czasopiśmie „The Jewish Expositor and Friend of Israel" (tamże, s. 200).

13. Janusz Tazbir, *Magnat spalony za przejście na judaizm*, [w:] tenże, *Cudzym piorem… Falsyfikaty historyczno-literackie*, Poznań 2002, s. 84–92. Przedruk: Janusz Tazbir, *Magnat spalony za przejście na judaizm*, [w:] tenże, *Od Sasa do lasa*, Warszawa 2011, s. 163–174.

14. *Polskie miody z łyżką dziegciu*. Z Januszem Tazbirem rozmawia Sergiusz Sterna-Wachowiak. Część II, „Odra" 2017, nr 9, s. 25.

Syberyjscy zesłańcy w opowiadaniach malarza Aleksandra Sochaczewskiego



Aleksander Sochaczewski, fot. wikipedia

Aleksander Sochaczewski urodził się 3 maja 1843 r. w osadzie Iłów pod Sochaczewem. Od 1858 r. studiował malarstwo w Warszawskiej Szkole Sztuk Pięknych. Od początku lat 1860. brał udział w manifestacjach patriotycznych, zajmował się też kolportażem nielegalnych wydawnictw. Został aresztowany 1 września 1862 r. i osadzony w X Pawilonie Cytadeli Warszawskiej. Podczas rewizji w jego mieszkaniu znaleziono m.in. broń, formy do odlewania kul, tajną prasę itp. W rezultacie 24 kwietnia 1863 r. został skazany na karę śmierci, zamienioną następnie na 20 lat katorgi na Syberii. Odbywał karę w warzelniach soli w Usolu koło Irkucka. Po kilku latach na mocy amnestii zamieniono mu resztę kary na zesłanie. Przez pewien czas mieszkał w Irkucku, później w Permie. Po powrocie z Syberii w 1883 r. wyemigrował do Monachium, gdzie żyło i pracowało wielu polskich malarzy. Później zamieszkał w Brukseli, a w 1901 osiadł na stałe w Wiedniu, gdzie zmarł w 1923 r. W 1913, w pięćdziesiąta rocznicę powstania styczniowego, po wystawie we Lwowie Sochaczewski przekazał radzie miejskiej Lwowa kolekcję obrazów w zamian za dożywotnią rentę. W 1956 r. Ministerstwo Kultury ZSRR przekazało Polsce kolekcję obrazów Aleksandra Sochaczewskiego. W setną rocznicę powstania styczniowego (1963), wyeksponowano kolekcję w Muzeum X Pawilonu Cytadeli Warszawskiej.

(Na podst. wikipedii).

*



Aleksander Sochaczewski, W drodze na katorgę, ekspozycja stała Muzeum X Pawilonu Cytadeli Warszawskiej

Anna Milewska-Młynik *(1950-2018)*

Aleksander Sochaczewski zyskał miano malarza syberyjskiej katorgi, gdyż pozostawił po sobie ponad 120 płócien stanowiących unikalną dokumentację losów zesłańców. Jednak nie wszystkim wiadomo, że artysta parał się również literaturą. Po powrocie z zesłania napisał kilka nowelek, w których sportretował ludzi napotkanych w Rosji. W 1906 roku berliński wydawca Richard Schott opublikował je pod tytułem *In Sibirien. Novellen von einem politischen Verbannte.*

W kraju książka Sochaczewskiego chyba nie wzbudziła szerszego zainteresowania, na co złożyło się kilka przyczyn. Z jednej strony była ona trudno dostępna dla polskich czytelników, a z drugiej – niezbyt dla nich interesująca, gdyż w niewielkim tylko stopniu wzbogacała wiedzę o ludziach ukaranych za przestępstwa polityczne. Trzeba też dodać, że pod względem literackim ustępowała ona poczytnym i wysoko cenionym przez krytyków pracom, mieszczącym się w nurcie zesłańczej prozy.

Wydaje się jednak, że nowele zasługują na bardziej wnikliwe spojrzenie, ponieważ sporo mówią o ich autorze, pozwalając przede wszystkim poznać pewne rysy jego osobowości. Narrator, który jest jednocześnie uczestnikiem opisywanych wydarzeń, po swojemu je interpretuje, ocenia zachowania bohaterów, omawia rzeczywistość z typową dla niego wrażliwością na sprawy tego świata. Tym samym zaznajamia czytelników z własnymi poglądami moralnymi i społecznymi.

Nie mniej ważny jest fakt, że nowele pozwalają lepiej zrozumieć całą twórczość Sochaczewskiego, gdyż jego malarstwo i utwory literackie w pewnym stopniu uzupełniają się. Zawarte w nich treści dotyczą dwóch aspektów tego samego zagadnienia, koncentrując się bądź na rzeczywistości jawnej, bądź na niedostępnej dla większości postronnych osób. Dzieła malarskie ukazują bowiem zewnętrzny obraz syberyjskiej udręki, zaś nowele odtwarzają portret wnętrza cierpiącego człowieka.



Aleksander Sochaczewski, Branka Polaków do armii rosyjskiej w 1863 r., fot. wikipedia

Bohaterami swoich utworów literackich uczynił Sochaczewski wyłącznie Rosjan. Fakt ten może zastanawiać, ponieważ autora powszechnie uważa się za kronikarza martyrologii zesłanych Polaków. Jest to oczywiście opinia prawdziwa, gdyż Sochaczewski faktycznie kierował się przede wszystkim pragnieniem przedstawienia narodowej tragedii. Trzeba jednak dodać, że względy patriotyczne nie były dla niego jedynym źródłem inspiracji. Artysta nie zawłaszczał Syberii dla cierpiących Polaków, ale malował całe zesłańcze otoczenie. W przedmowie do katalogu krakowskiej wystawy jego prac tak scharakteryzował swoje najwybitniejsze dzieło, zatytułowane „Na granicy Syberyi”:

> Oto przedmiot mego obrazu: starałem się przedstawić rozmaite typy wygnańców w strasznej chwili (utraty nadziei na odmianę losu). Są to skazańcy polityczni i zwykli zbrodniarze, starzy i młodzi, mężczyźni i kobiety, różni wiekiem, pochodzeniem i stanowiskiem społecznem.

Wśród wykonanych przez Sochaczewskiego portretów, studiów i szkiców znajdujemy sporo postaci reprezentujących obce środowiska. Są to wizerunki rosyjskich zesłańców politycznych: Mikołaja Czernyszewskiego, Piotra Zajczniewskiego, Afanasija Szczapowa, przedstawicieli arystokracji narodów podbitych: książąt Yoppe-Beya z Zakukazia i Kajsakowa z Niziny Turańskiej, a także kupca moskiewskiego, Rusinek, włóczęgi – „brodiagi", handlarza – „majdańczyka", sekciarza – sobotnika Prokopa, rosyjskiego chłopa – „desperaty", Wańki rozbójnika czy szubrawca.

Sochaczewski napisał, że bohaterów jego prac łączy „ten sam niezmierny ucisk moralny". Wydaje się, że to właśnie stwierdzenie jest niezwykle istotne dla zrozumienia całej twórczości artysty.

Po powrocie z zesłania i krótkim pobycie we Lwowie, Sochaczewski wyjechał na stałe za granicę. W tym właśnie okresie powstały jego najważniejsze obrazy i nowele. Zawarte w

nich treści niezbicie dowodzą, że mimo upływu lat nie potrafił uwolnić się od emocjonalnego przeżywania Syberii. Biografki artysty – Helena Boczek i Beata Meller, na podstawie relacji jego ówczesnej żony Róży napisały, że Sochaczewskiego prześladowały lęki i przywidzenia.

> W środku nocy zrywał się z opętańczym krzykiem, czasem chwytał za broń, biegał po sypialni, a kiedy powracała świadomość, zamykał się w pracowni, brał pędzel do ręki i malował przez kilka, a czasem kilkanaście godzin. Nie jadł, nie spał i do nikogo się nie odzywał. Powstawały w tym czasie portrety ludzi, z którymi odbywał katorgę. Aleksander zwierzał się przyjaciołom, że ciągnąca się latami beznadziejna samotność, bezradność wobec zła i przemocy, i związany z tym nieustępliwy strach, uczyniły w jego psychice nieobliczalne spustoszenia.

Ogarnięty obsesją artysta zapewne nie mógł podejmować w swojej sztuce tematów obojętnych. Dlatego jego dzieła nacechowane były cierpieniem, którego źródło wypływało z syberyjskich doświadczeń. Uczuciu temu podlegali wszyscy skazańcy, niezależnie od ich narodowości czy pozycji społecznej. Część z nich ponosiła zasłużoną karę za popełnione zbrodnie, inni cierpieli za winy, które w oczach Sochaczewskiego znajdowały moralne rozgrzeszenie. Jak się wydaje, artystę

interesowali przede wszystkim ci ostatni. Na zesłaniu spotkał zbrodniarzy, którzy z natury byli ludźmi etycznymi. Dla nich piekło syberyjskiej katorgi stanowiło kontynuację nędzy istnienia na wolności. Ludźmi tymi byli właśnie Rosjanie – bohaterowie nowel syberyjskich.

Można się zastanawiać, czy we własnym środowisku nie znalazł Sochaczewski osób naznaczonych podobnym cierpieniem. Na to pytanie trudno udzielić jednoznacznej odpowiedzi. Jeśli nawet spotykał takich ludzi, zapewne nie chciał opisywać ich moralnego upadku, gdyż Syberia stanowiła wówczas dla Polaków symbol męczeństwa najlepszych synów ojczyzny. Sochaczewski także pragnął utrwalić jej patetyczny obraz, czego dowodzi chociażby malarstwo artysty. Wydaje się również, że w swoim najbliższym otoczeniu rzeczywiście nie napotykał rodaków ciężko pokutujących za przestępstwa pospolite.

Stosunkowo niewielka grupa Polaków, z którą miał do czynienia na katordze i po uwolnieniu, stanowiła bowiem elitę wygnańców. Ludzie ci zostali ukarani za działalność patriotyczną, więc cierpieli w szlachetnej sprawie i mieli tego pełną świadomość. Ofiara poniesiona dla ojczyzny nobilitowała też skazańców w oczach otoczenia. W pewnym sensie kara więźniów politycznych była wyróżnieniem, gdyż stanowiła świadectwo najwyższego poświęcenia się dla idei.

Między ludźmi cierpiącymi za działalność polityczną i za czyny kryminalne istniała przepaść, spowodowana nie tylko różnicą moralnego osądu ich przestępstw. Skazańców tych dzieliła bowiem skala rozpaczy.



Aleksander Sochaczewski, Wieczór – zakładanie kajdan, fot. wikipedia

Większość zesłańców politycznych nie rozumiała piekła doznań zbrodniarzy i co najwyżej ubolewała nad ciężkim położeniem kryminalistów. Sochaczewski należał tu do wyjątków, gdyż potrafił dostrzec dramat zdruzgotanych ciężarem grzechu winowajców. W noweli *Zamaskowany* przypisał zbrodniarzowi takie oto słowa:

> Och ty! I ty kiedykolwiek zdawałeś się być uprawniony do tego, by gniewać się na swój los, za to, że w nagrodę za

> twoją miłość do Ojczyzny, rzucił cię aż tutaj na Syberię do kopalni? O ty niewdzięczniku! Na kolanach powinieneś Bogu dziękować za tę lekką dolę. Gdybyś chociaż miał tylko wyobrażenie o tej bezgranicznej nędzy, która wyprała nas ze wszystkiego i odczłowieczyła!

Sochaczewskiego jako pisarza interesował przede wszystkim dramat jednostki – ofiary panujących w Rosji stosunków społecznych. Osoby z drugiego planu są albo statystami, nie potrafiącymi skutecznie przeciwdziałać złu, albo wysłannikami, a może nawet egzekutorami losu. Postępowanie tych ostatnich sprowadza się bowiem do nieustannego prowokowania nieszczęśnika, wystawiania go na kolejne próby, które muszą zakończyć się jego klęską. Ich portret psychologiczny jest w gruncie rzeczy bardzo ubogi, gdyż ogranicza się do pokazania ważnej z dramaturgicznego punktu widzenia cechy osobowości. Wobec głównego bohatera są bezwzględnie źli, skrajnie egoistyczni i amoralni, zaś postępując okrutnie, nie przeżywają żadnych wewnętrznych rozterek. Na ich tle wyraziście rysują się tylko dwie obdarzone prawdziwie ludzkimi uczuciami postacie – współczujący narrator i cierpiący bohater.

Jedną z najważniejszych, jeśli nie główną myślą utworów Sochaczewskiego było twierdzenie, że nieszczęście może spotkać każdego. Nawet ludzie prawi, dokładający wiele starań, by

uczciwie przeżyć swoje dni, wpadają w pułapkę złego losu i tracą wszystko. Warto dodać, że ta koncepcja była bliska pojmowaniu występku przez szerokie warstwy rosyjskiego społeczeństwa. Siergiej Maksimow, autor książki *Syberya i ciężkie roboty* zwrócił uwagę, iż tamtejszy lud cechuje fatalistyczne pojmowanie losu człowieka, kształtowanego przez potężne złe moce, których pokonać nie można. Zdaniem Maksimowa „ta rozpacz, ten brak wiary we własne siły jako istoty rozumnej i niezależnej, do tego stopnia wzrosły w świadomość ludu, że popęd do zbrodni nazywa się nieszczęściem”, a zbrodniarza – człowiekiem nieszczęśliwym.



Aleksander Sochaczewski, Muzeum X Pawilonu Cytadeli Warszawskiej



Aleksander Sochaczewski, Muzeum X Pawilonu Cytadeli Warszawskiej

W nowelach Sochaczewskiego skrzywdzonymi i krzywdzącymi zarazem są różne osoby, choć nie wszystkie postacie zostały potraktowane z jednakową uwagą. Role głównych bohaterów przydzielał autor tylko pewnej grupie „nieszczęśliwych". Byli to ludzie, których łączyła wrażliwa i dobra natura. Nad ich życiem zaciążyło jednak złowrogie fatum, doprowadzające niektórych z nich do zbrodni.

W opowiadaniach najbardziej tragicznymi postaciami są mordercy: Karp Iłarionowicz, Iwan Kiryłowicz Kaczugin i Stiepan Markowicz Kariagin. Dwaj pierwsi byli przedstawicielami niższych warstw społecznych – chłopem i synem pomocnika cerkiewnego. Historię ich upadku można postrzegać w kontekście niesprawiedliwości stosunków społecznych panujących w Rosji lub jako przejaw fatalizmu losu.

W poświęconych im utworach zawarł Sochaczewski wiele spostrzeżeń dotyczących relacji między poddanymi, a przedstawicielami lokalnych władz i szlachty, a także podawał przykłady bezkarności grup uprzywilejowanych oraz bierności krzywdzonych ludzi z gminu.

Najbardziej wyraziście zostały przedstawione te problemy w utworze *Nabożny mściciel*. Sochaczewski opisał w nim zamożnych chłopów, których zasobność „wyzwalała chciwość urzędników, isprawników (naczelników policji powiatowej)i innych urzędników”. W noweli czytamy, że obmyślili oni następującą intrygę: koło jednej z zagród podrzucili zwłoki człowieka, który zginął na bezdrożach Syberii z rąk nieznanych zabójców, a następnie oskarżyli mieszkańców sadyby o morderstwo. Jednym z obwinionych był główny bohater utworu, Karp Iłarionowicz. Na nic zdały się tłumaczenia chłopów, że są niewinni. Oskarżeni trafili do więzienia, zaś reszta wiejskiej społeczności nie potrafiła zdecydowanie przeciwstawić się

niesprawiedliwości. Zarówno w czasie aresztowania, jak i później, kiedy młoda małżonka Karpa próbowała wyjednać dla niego ułaskawienie, najbardziej bezwzględny i amoralny okazał się naczelnik. On to właśnie poniżał chłopów, deprawował kobiety, postępował obłudnie wobec łatwowiernych wieśniaków.

Karp z pokorą znosił przeciwności losu, dopóki miara nieprawości się nie przebrała. Kiedy dowiedział się, że naczelnik uwiódł mu żonę postanowił odebrać sobie życie. Jednak w momencie, kiedy próbował się powiesić, pojawili się pątnicy i uratowali go od śmierci. Niedoszły samobójca dostrzegł w tym zdarzeniu zrządzenie Opatrzności. Od tego czasu gorliwie się modlił prosząc o możliwość dokonania zemsty. Uznał bowiem, że jest narzędziem „Bożego sądu karnego". I wreszcie jego pragnienie ziściło się. W pewien poniedziałek Wielkanocny Karp zamordował naczelnika.

Za swój czyn został skazany na katorgę do Usola, gdzie traktowano go z pewnym poważaniem. Cały czas wierzył, że zostanie wybawiony przez „oświeconego cara", który zrozumie jego posłannictwo. Według relacji narratora „aż do ostatniego tchnienia miał nadzieję, modlił się i śpiewał hymny kościelne z żałosnymi, zawodząco brzmiącymi motywami". Jednak od męki wybawiła go dopiero śmierć.

Druga nowela, *Śmiejący się Iwan* została oparta na podobnym

schemacie: osoba zajmująca wyższą pozycję w hierarchii społecznej krzywdzi człowieka niżej postawionego, co doprowadza do tragedii. Jej bohaterem jest Iwan Kiryłowicz Kaczugin, biedak cynicznie wykorzystywany i poniżony przez zdemoralizowanego syna dziedzica. Przez całe lata z biernym poddaniem znosił swój los, uznając, że nie ma prawa decydować o własnym życiu. Mimo to czuł, że dzieje mu się krzywda i z czasem na każdą kolejną wyrządzoną mu podłość zaczął reagować histerycznym śmiechem. Choć nie dążył do zemsty, kiedyś, pod wpływem silnego wzburzenia zabił swoich krzywdzicieli. Za ten czyn zesłano go na katorgę, zaś później przebywał w Irkucku, gdzie znany był jako Iwan Smiesznoj. Narrator określił go jako „człowieka zeszmaconego, wyniszczonego, który tak bardzo był wyzbyty godności, że z udawania pomylonego zrobił sobie zajęcie zarobkowe”. Podobnie jak bohater poprzedniej noweli Iwan cierpiał po ostatnie chwile swojego życia.

Ukazując mentalność i zachowania skazańców wywodzących się z niższych warstw społecznych oraz reakcje na zło ich najbliższego otoczenia, Sochaczewski trafnie wczuł się w psychikę tych ludzi.



Aleksander Sochaczewski, Pożegnanie Europy, zbiór Muzeum X Pawilonu Cytadeli Warszawskiej. Przy obelisku na granicy Europy i Azji grupa zesłańców należących do wszystkich wymienionych wyżej kategorii; jedną z postaci – blisko monumentu, po prawej stronie – jest Aleksander Sochaczewski.

Za panujące bezprawie nie obwiniali cara, ani podległych mu urzędników, nie próbowali też dochodzić swoich racji. By się ratować, uciekali się do sposobów odpowiadających oczekiwaniom ludzi, od których zależał ich los: błagali o litość, próbowali przekupstwa, zgadzali się na utratę godności. Uważali bowiem, że osoby wyżej postawione w hierarchii społecznej mają prawo krzywdzić biedaków. Sochaczewski podaje sporo przykładów potwierdzających ten sposób myślenia: matka Marfy Pietrownej, żony Karpa, była oburzona na córkę, że opierała się „jaśnie wielmożnemu panu, który przecież zastępuje cara”, wieśniacy nie rozumieli, dlaczego niesłusznie więziony sąsiad, po

wyjściu na wolność był przygnębiony, ojciec Iwana zbił go, gdy ten skarżył się na złe traktowanie przez szkolnych kolegów pochodzących ze szlachty. Na bunt mogły zdobyć się najbardziej zdesperowane i wrażliwe jednostki, jednak dochodzenie sprawiedliwości na własną rękę przypłacały obłędem i zesłaniem na katorgę. Ludzie ci zyskiwali uznanie otoczenia nie dlatego, że wymierzyli winowajcy sprawiedliwą karę, lecz dopuścili się czynu odważnego, wręcz bluźnierczego, gdyż dokonali zamachu na usankcjonowany porządek świata, dzielący ludzi na panów i poddanych.

Zgodnie z tym rozumowaniem przeciwstawienie się istniejącemu stanowi rzeczy powinno podlegać surowemu społecznemu osądowi. Tak jednak nie było, gdyż zbrodnię uważano za objaw obłędu lub opętania przez diabła. Człowiek nie ponosił więc winy za popełniony czyn, ale wypełniał sądzony mu los. Popularne rosyjskie przysłowie głosiło bowiem: „Złodzieje nie rodzą się, a kogo diabeł omota, ten nie uniknie biedy i grzechu”.

W ostatniej noweli poświęconej zabójcy noszącej tytuł *Zamaskowany* Sochaczewski oskarża rosyjskie patriarchalne stosunki. Bohaterem utworu jest syn rosyjskiego generała, występujący pod przybranym nazwiskiem Stiepana Markowicza Kariagina. Zmieniając swoją tożsamość, próbował on uchronić przed hańbą dobre imię swojego rodu, ponieważ dopuścił się straszliwego czynu ojcobójstwa.

Tak jak w poprzednich nowelach, Sochaczewski nie potępia czynu swojego bohatera, gdyż ojciec Stiepana dokonał jeszcze okrutniejszego morderstwa, zabijając mu żonę i dzieci. Nie znajduje natomiast żadnego usprawiedliwienia dla starego generała, który planując na zimno zbrodnię „obnażył dzikość i surowość swojej prawdziwej natury”.

Po zabójstwie nie czuł żadnych wyrzutów sumienia.

> Siedział spokojnie na krześle z wysokim oparciem […].Oczy jego były prawie przesłonięte przez opadające brwi. Połyskiwały spod nich tylko małe świecące punkciki, zupełnie jak u hieny.

Pobladłemu ze zgrozy i roztrzęsionemu synowi powiedział:

> Nie potrzebujesz się wcale tak podniecać. Jesteś jeszcze młody. Już ja się postaram o to, żebyś miał i będziesz miał inną żonę – odpowiednią do twego stanu. A co się tyczy tych bękartów…

– tutaj zawiesił głos. Wtedy syn rzucił się na ojca z nożem – tym samym, którym zamordował on jego bliskich.

Historia Stiepana miała swój tragiczny finał. Kiedy narrator spotkał go w Usolu, mieszkał w „zwykłej dziurze wykopanej w stromym brzegu rzeki, w brudzie i ubóstwie”. Od dwudziestu lat zajmował się cumowaniem statków przybyłych z ładunkiem wapna. Kilka lat później, gdy narrator mieszkał już w Irkucku, dowiedział się, że na miejscu Stiepana pracuje jakiś garbaty.

Opisując historie upadku zwyczajnych ludzi, Sochaczewski ukazał szerszy problem, który stanowił źródło również i jego udręki – bezradność człowieka wobec zła i przemocy. Wymowa tych utworów jest zdecydowanie pesymistyczna. Bohaterowie nowel, wchodząc w konflikt z prawem tracili godność, spokój ducha, majątek i wolność. Ciężar, który musieli nieść, przekraczał ich siły. Sochaczewski negował tym samym chrześcijańską koncepcję, według której Pan Bóg doświadcza człowieka tylko takim krzyżem, jaki może udźwignąć. Swoim bohaterom odebrał też nadzieję na odpuszczenie win.

Choć Karp żarliwie się modlił i pokutował, nie miał szans na prawdziwe rozgrzeszenie, gdyż obrał fałszywą drogę i nie wyraził skruchy. Z kolei Iwan sam nie potrafił znaleźć dla siebie usprawiedliwienia i wiedział, że potworność dokonanego czynu będzie go dręczyć aż do śmierci. Stiepana Kariagina prześladowały natomiast myśli o zamordowanej żonie i dzieciach, o okrucieństwie ojca i własnej zbrodni.

Pesymistyczny wydźwięk nowel jest chyba najbliższy prozie Fiodora Dostojewskiego, który przedstawia egzystencję i przeżycia więźniów skazanych za przestępstwa kryminalne. Bohaterowie *Domu umarłych,* odbywający ciężką pokutę na katordze, również nie mają nadziei na moralne odrodzenie. Utwory Sochaczewskiego, pod względem tematycznym wykazują także sporo podobieństw do pisarstwa Włodzimierza Korolenki, który w swoich „obrazkach powieściowych" *Z Sybiru* tworzy wyraziste portrety włóczęgów, osiedleńców i skazańców. Jeszcze więcej łączy je ze *Szkicami* Adama Szymańskiego, ponieważ obydwaj autorzy zajmują się psychologią zbrodni. Szymański nadaje jednak swoim opowiadaniom wydźwięk humanistyczny, pisząc o skrusze, pokucie i nadziei na odpuszczenie win. Przepojone rozpaczą utwory Sochaczewskiego stanowią więc w polskiej literaturze zesłańczej pozycją wyjątkową.

Jak się wydaje są one wyrazem „nieobliczalnych spustoszeń w psychice" autora, spowodowanych jego syberyjskimi przeżyciami. Zesłanie zabrało mu młodość, nauczyło życia w samotności, podejrzliwości i w strachu, powracało w dręczących go koszmarach. Będąc na wolności nadal pozostawał „więźniem Sybiru". Nie jest więc wykluczone, że zwątpił w możliwość pokonania zła.

Artykuł ukazał się w lutym, 2005 r. w „Liście oceanicznym",

dodatku kulturalnym „Gazety” w Toronto.



Aleksander Sochaczewski, stała ekspozycja Muzeum X Pawilonu Cytadeli Warszawskiej

Dr Anna Milewska-Młynik (1950-2018) była znawczynią historii zesłań Polaków na Syberię w XIX i XX w., historii Kresów Wschodnich, opiekunką Sybiraków i Łagierników, których losy przybliżała przez lata w swoich licznych artykułach, wystawach i wykładach. Jako kustosz dyplomowany była wieloletnim pracownikiem Muzeum Niepodległości w Warszawie, twórczynią Kolekcji Sybirackiej, opiekunką kolekcji o Kresach Wschodnich. Dokumentując losy Polaków represjonowanych na Wschodzie, odwiedziła wiele miejsc na Syberii i w Kazachstanie – miejsc

zsyłek naszych Rodaków. Była m.in. w Workucie, Irkucku, Usolu Syberyjskim, na Wyspach Sołowieckich itp. (armiakrajowa-lagiernicy.pl)

---

[1] Aleksander Sochaczewski (1843-1923) własc. Sonder Lejb. Studiował w Warszawskiej Szkole Sztuk Pięknych. Od 1860 r. działał w organizacjach patriotycznych. W 1862 r. skazany na 20 lat katorgi. Pracował w usolskiej warzelni soli, później przebywał w Irkucku i we wsi Ajnok. Do kraju wrócił w 1884 r.

[2] Utworami wyróżnianymi przez literaturoznawców są dzieła Adama Szymańskiego i Wacława Sieroszewskiego.

[3] *Sybir. Wystawa obrazów Aleksandra Sochaczewskiego,* Kraków 1900, s. 6.

[4] *Sybir…*op. cit., s.6.

[5] W 1884 r. zamieszkał w Monachium, w 1895 r. przeniósł się do Brukseli, a w 1901 r. – do Wiednia, gdzie pozostał do końca życia.

[6] H. Boczek, B. Meller, *Aleksander Sochaczewski. Malarz syberyjskiej katorgi,* Warszawa 1993, s.28.

[7] A. Sochaczewski, *Na Syberii (Nowele politycznego zesłańca)*, oprac. R. Schott, Berlin [1906] w tłumaczeniu B. Siebat, maszynopis w zbiorach Muzeum Niepodległości, s. 92.

[8] S. Maksimow, *Syberya i ciężkie roboty (Sybir i katorga)*, cz. 2, Warszawa 1899, s. 6.

[9] Maksimow, op. cit., s. 6.